

♪[PRZECIĄGŁY DŹWIĘK]

LEKTOR: „Audycje Kulturalne” – w dobrym tonie.

♪[FRAGMENT UTWORU]

NATALIA RYBA: Przy mikrofonie Natalia Ryba. Witam Państwa w kolejnym odcinku Audycji Kulturalnych. Dziesiątego października minie równo trzydzieści lat od tragicznej śmierci Andrzeja Zauchy. Dziś będziemy wspominać artystę, o którym opowie Jarosław Szubrycht – dziennikarz muzyczny oraz autor książki „Życie, bierz mnie”, którą poświęcił właśnie życiu Andrzeja Zauchy. Zapraszam.

♪ [PRZECIĄGŁY DŹWIĘK]

NATALIA RYBA: Skąd w Panu się w ogóle pojawiła taka motywacja, żeby to właśnie Andrzej Zaucha stał się bohaterem Pana kolejnej książki?

JAROSŁAW SZUBRYCHT: Jestem fanem Andrzeja Zauchy. Oczywiście różnych okresów jego działalności z różną intensywnością słucham. Natomiast zaintrygowało mnie to, że rozpiętość stylistyczna nagrań, które po sobie zostawił, jest tak ogromna, bo od Dżambli czy tego jego czasu z Anawą do tych piosenek, które znane były z telewizji z lat drugiej połowy lat osiemdziesiątych. Rzeczywiście dzieli je przepaść. Chciałem się dowiedzieć, dlaczego tak było. Okazało się, że informacje, do których dotarłem, nie były satysfakcjonujące dla mnie i doszedłem do wniosku, do wniosku, że skoro nikt tej historii nie zbadał tak, jak chciałbym, żeby była zbadana, to być może to jest zadanie dla mnie i tak od tego się zaczęło.

NATALIA RYBA: Jak właściwie pan się zmierzył z dotarciem do różnych szczegółów, które w tej książce będziemy mogli przeczytać?

JAROSŁAW SZUBRYCHT: Zacząłem od kontaktu z córką Andrzeja, czyli Agnieszką, bo mieszkamy w jednym mieście, wiedziałem, że mamy wspólnych znajomych. Jesteśmy mniej więcej rówieśnikami, więc no Kraków nie jest aż tak duży, żeby, żeby gdzieś tam no właśnie nie mieć przynajmniej znajomych i spotkałem się z nią, opowiedziałem, co chcę zrobić i... i w jaki sposób. Okazało się, że Agnieszka miała podobne propozycje wcześniej od innych dziennikarzy, ale nie, nie godziła się. Na moją przystała, jak się okazało potem, dlatego że dowiedziała się, że napisałem książkę o zespole Slayer i doszła do wniosku, że kiedy ktoś pisze o Slayerze, to chodzi mu pewnie o muzykę, a nie tylko o... o jakieś wątki sensacyjne – przez pryzmat, których no niestety Andrzej Zaucha jest przedstawiany w mediach najczęściej. I nie pomyliła się, tak, chodziło mi o muzykę, chodziło mi o poznanie go jako artysty i człowieka. Z pomocą Agnieszki było łatwiej dotrzeć no oczywiście zarówno do rodziny, jak i do najbliższych przyjaciół, również do takich osób, które z różnych względów nie chciały już rozmawiać o Andrzeju albo nigdy wcześniej nie rozmawiały publicznie z

mediami o Andrzeju, bo te..., bo te rany po prostu mimo upływu lat, nawet dekad już teraz, nie zdążyły się zabiścić.

NATALIA RYBA: Czy uważa pan, że współcześnie jest trochę taki powrót do muzyki Andrzeja Zauchy w kontekście jakiejś nostalgii? I tutaj chyba bardziej mam na myśli moje pokolenie, to to młodsze pokolenie i na przykład wykorzystywanie sampli w różnych utworach różnych współczesnych artystów. Jak się pan w ogóle zapatruje na takie zjawisko i czy pan się zgadza, że ono występuje?

JAROSŁAW SZUBRYCHT: Tak, występuje bez wątplenia. Ja to myślę, że jest to element tego szerszego zjawiska, które nazywane jest retromanią, czyli takiego trochę zagapienia się kultury popularnej w swoją własną przeszłość. Ma to oczywiście swoje pozytywne strony, dlatego że nie pozwala zapomnieć o pewnych wartościowych artystach, nurtach i dziełach. Ma swoje negatywne strony, bo z kolei taka no, no zbyt intensywna retromania trochę przesłania nam dzień dzisiejszy i więzi w wiecznym wczoraj nie pozwalają spojrzeć w przyszłość. Natomiast akurat nagrania współczesne, oparte czy wykorzystujące sampling i w tym przypadku samplujące na przykład Andrzeja Zauchę, to uważam, że zjawisko jak najbardziej pozytywne. Pozytywne, dlatego że to jednak jest zupełnie nowa jakość, to są zupełnie nowego rodzaju utwory nowego, nowego rodzaju treści, więc nie ma mowy o bezkrytycznym powtarzaniu przeszłości. Z drugiej strony ma to też ten pozytywny walor, że po pierwsze Zaucha przez lata nie był tak bardzo obecny w nowej muzyce, dlatego że no zanim upowszechnił się właśnie sampling, można było próbować śpiewać piosenki z jego repertuaru, a to jest bardzo trudne, więc nawet ci, co próbowali, najczęściej niestety wracali z tej wyprawy na tarczy. A czymś innym zupełnie jest sampling, bo nagle okazuje się, że on może w oryginale tym swoim głosem dośpiewać coś w refrenie Sokołowi czy zespołowi...

NATALIA RYBA: PRO8L3MOWI.

JAROSŁAW SZUBRYCHT: PRO8L3M, tak. I jeszcze to jest o tyle fajne, że oni nie korzystają z tych trzech, czterech najbardziej popularnych utworów, najbardziej popularnych refrenów, które tak czy owak w radiach sformatowanych na złote przeboje gdzieś tam się przewijają, czy na potańcówkach się przewijają, ale poszukali rzeczy raczej już dla szerokiej publiczności zapomnianych i sprowokowali to, że ktoś sprawdził. To można to zobaczyć na YouTube pod tymi piosenkami, gdzie ludzie się identyfikują, kto od Sokoła, no i oczywiście większość, i jeżeli nawet jakiś procent, niechby promil tych, którzy zainteresowali się tym jednym utworem, poszukał dalej, no to już nic, tylko przyklasnąć właśnie tak rozumianemu podejściu do twórczości Andrzeja, co zresztą wszystkich innych herosów z przeszłości, więc, więc tak. Potwierdzam, istnieje to zjawisko i bardzo się z niego cieszę.

NATALIA RYBA: Ja również z mojej perspektywy, ale właśnie, jeżeli ktoś by chciał już sięgnąć po twórczość Andrzeja Zauchy, to czy zgadza się pan z tym, że my dobrze o nim pamiętamy, to znaczy, że tych wydań fonograficznych jest na tyle dużo, ile utworów po prostu jego było?

JAROSŁAW SZUBRYCHT: Nie, oczywiście, że nie. Przede wszystkim jego nagrania, wszystkie nagrania, które zostały stworzone w tamtym czasie i nawet doczekały się publicznej prezentacji, i mam tu na myśli przede wszystkim emisje radiowe, dlatego że studia nagraniowe to były studia skupione wokół lokalnych oddziałów polskiego radia i tam przede wszystkim artyści w latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych i jeszcze osiemdziesiątych nagrywali. Dopiero w drugiej połowie lat osiemdziesiątych pojawiły się pierwsze prywatne studia nagraniowe w Polsce, więc wiele tych nagrań Andrzeja po jednej, czasami kilku emisjach radiowych zalegało w archiwach i bynajmniej nie dlatego, że one były jakiejś gorszej jakości od tych, które zostawały wydane, tylko dlatego że no rynek fonograficzny właściwie wówczas nie istniał, to była trochę taka proteza rynku, to znaczy jakieś rzeczy się ukazywały, ale decyzje, które były podejmowane, co wydać, kiedy, w jakiej formie, niekoniecznie miały, miały ugruntowanie merytoryczne, to znaczy nie zawsze ukazywały się rzeczy najlepsze i też niekoniecznie miało ugotowanie komercyjne, czyli też wcale niekoniecznie ukazywały się takie rzeczy, których publiczność najbardziej się domagała, tylko ukazywały się rzeczy ludzi, którzy mieli albo managerów, albo sami potrafili się skutecznie przebić przez jakieś tam kolejne biurka decydentów. Andrzej nie umiał albo może nie chciał, ale najpewniej jedno i drugie, i trochę o te swoje interesy nie potrafił zadbać. Później, czyli od połowy lat osiemdziesiątych to już się zmieniło i rzeczywiście ukazywały się jego, jego płyty, natomiast tak naprawdę w archiwach wciąż jeszcze leżą dziesiątki nagrań i wiem, że niektóre z nich będą, będą i to, i to niedługo wydawane, jest w przygotowaniu jeden taki album chociażby, ale, ale no dałoby się zrobić jeszcze niejedną. I oczywiście kolejną kwestią są materiały, które kiedyś były wydane, po prostu były na rynku, ukazywały się chociażby w latach osiemdziesiątych, ale później nie doczekały się reedycji i jeżeli w ogóle można je zdobyć, to najczęściej są to już dosyć zużyte, nadgryzione zębem czasu płyty winylowe w serwisach aukcyjnych. I to też sądzę, że są rzeczy warte po prostu odkurzenia, być może jakiejś cyfrowej obróbki i wydania.

NATALIA RYBA: Jak Andrzej Zaucha zbudował siebie jako wokalistę?

JAROSŁAW SZUBRYCHT: To jest trudne pytanie, ale jednocześnie wdzięczny temat, dlatego że Andrzej nie miał formalnego wykształcenia, ale to wcale nie znaczy, że nie był muzykiem, wokalistą dobrze do swojej roli przygotowanym. Zaczęło się właściwie już od czasu dziecięcego, od najmłodszych lat, dlatego że, że cała jego rodzina ze strony matki muzykowała. Jego wuj prowadził no wiejską orkiestrę, która obsługiwała zarówno uroczystości kościelne, jak i weekendowe potańcówki. Ojciec Andrzeja był perkusistą, zresztą Andrzej dzięki temu nauczył się grać na perkusji i tu już mamy pierwszą odpowiedź, dlaczego taki świetny miał timing jako wokalista, dlaczego tak

doskonale czuł rytm, nigdy nie wypadł z taktu – bo był perkusistą. Nauczył się też grać na saksofonie, to z kolei wójt Rębacz go nauczył i tu już mamy z kolei kwestię frazowania, a potem były doświadczenia nabierane z kolejnymi zespołami. Przełom lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych to w Krakowie czas szczególny, bo bardzo muzycznie aktywny, co jest właściwie ewenementem. Chyba tylko we Wrocławiu było, było podobne środowisko. Jazzmani i rockmani, wtedy mówiło się, że zespoły bitowe, nie patrzyli na siebie spode łba, tylko współpracowali. Razem tworzyli zespoły, razem odbywali jam sessions. Efektem takiego wspólnego działania tych dwóch środowisk jest właśnie zespół Dżamble, do którego dołącza Andrzej Zaucha, czyli zespół, dziś powiedzielibyśmy, jazzrockowy. Potem jest Anawa, w której Zaucha zastępuje Marka Grechutę, czyli coś, co z kolei dzisiaj nazwalibyśmy zespołem progrockowym, a potem Andrzej znowu łąduje w składzie jazzowym, by następnie trafić do zespołu, który gra do kotleta popularne przeboje w lokalach gastronomicznych Szwajcarii, Austrii i Niemiec. I te wszystkie doświadczenia razem złożone produkują artystę, którego poznajemy w latach osiemdziesiątych, który jest bardzo wszechstronny, ale też doskonale przygotowany do trudów sceny, bo jeżeli się przetrwało te wszystkie dancingi nocne w tych hotelach niemieckich, to co to w ogóle za problem – zaśpiewać kilka piosenek na estradzie w Opolu czy w jakiejś sali koncertowej? Więc jego te wszystkie doświadczenia zbudowały, więc to, to była długa droga do tych lat osiemdziesiątych, kiedy został gwiazdą, ale rzeczywiście był już świetnie przygotowany.

NATALIA RYBA: A czy do tej świetnej kondycji wokalne mogło się przyczynić jego taki epizod kajakarski?

JAROSŁAW SZUBRYCHT: Mogło to, ja myślę, że tak. To oczywiście warto by było porozmawiać z fizjologiem na przykład czy, czy z jakimś innym specjalistą, który mógłby to potwierdzić. Śpiewanie to jest jednak praca oddechem. Śpiewa się nie, nie, nie gardłem, ale śpiewa się przeponą, trzeba też odpowiednio umieć pracować płucami. Kajakarz to potrafi, a Andrzej był kajakarzem znakomitym, on przez dwa lata zdobywał Mistrzostwa Polski w swojej kategorii wiekowej, a w trzecim sezonie już nie zdobywał, bo, bo go skusiły koncerty, pierwsze zespoły, imprezy, towarzystwo, ale nie dlatego, że właśnie nie miał talentu, bo był świetnym kajakarzem, no tylko tamto życie bardziej mu się podobało – na łódzie.

NATALIA RYBA: A gdy pan przychodził już rozmawiać z jego bliskimi albo współpracownikami, to jaki obraz Andrzeja Zauchy panu się utworzył? Jakim on był człowiekiem?

JAROSŁAW SZUBRYCHT: Muszę powiedzieć, że pod tym względem był bohaterem – dla mnie jako autora książki – niewdzięcznym, bo niestety nudnym. Bo po prostu wszyscy wspominali go jako serdecznego przyjaciela, jako, jako dobrego chłopaka, takiego brata łątę. Nie udało mi się znaleźć nikogo, kto chciałby powiedzieć o nim jakieś złe słowo. Jeżeli już, to były rzeczy dotyczące kwestii artystycznych. Kanty

Pawluśkiewicz mówił o tym, jak bardzo był zawiedziony, wręcz zraniony, kiedy... kiedy Andrzej odchodził z Anawy. Oni się potem już pogodzili i współpracowali znowu, natomiast oczywiście no wtedy to był taki moment, kiedy te emocje były bardzo, bardzo silne, ale to były kwestie wciąż związane z życiem artystycznym. W życiu prywatnym rzeczywiście nie znalazłem nikogo, kto chciałby, umiałby powiedzieć na niego złe, złe słowo. To był taki człowiek, który kiedy się pojawiał w pomieszczeniu, to od razu wszyscy się uśmiechali, bo wchodziła właśnie radość, wchodził dowcip, co wcale nie znaczy, że to był ktoś, kto nie miał swoich życiowych problemów, ale chyba miał właśnie taki sposób na radzenie sobie z nimi, takie trochę dostrzeganie tej szklanki zawsze do połowy pełnej i nie miał wrogów oprócz tego jednego ostatniego, niestety śmiertelnego, więc to nie jest jakaś pod tym względem złożona postać, targana w swoim życiu jakimiś emocjami, rozpięta pomiędzy dobrem i złem. Nie, to ja myślę, że to po prostu był fajny facet.

NATALIA RYBA: Czyli mógłby pan iść z nim spokojnie na kawę, ciastko, drinka, prawda?

JAROSŁAW SZUBRYCHT: Tak, oczywiście, z przyjemnością i jestem pewien, że doskonale bym się bawił.

NATALIA RYBA: Skąd w ogóle tytuł książki „Życie, bierz mnie”?

JAROSŁAW SZUBRYCHT: Z tekstu jednej z piosenek, ale tak naprawdę z mojego głębokiego przekonania i nastawienia, że właśnie o życiu Andrzeja chciałbym opowiedzieć oraz z jego podejścia do życia, świata, ludzi, muzyki. To był właśnie taki człowiek, który życie chłonał, który, jeżeli tylko los pozwalał, to to czerpał je pełnymi garściami, więc doszedłem do wniosku, że akurat te słowa no doskonale oddają jego charakter, jego podejście.

NATALIA RYBA: A czy uważa pan, że Andrzej Zaucha był artystą, człowiekiem spełnionym?

JAROSŁAW SZUBRYCHT: Nie, myślę, że nie. Myślę, że tak naprawdę rozstaliśmy się z nim w chwili, kiedy on był gotowy do... tym, już był w tym, na tym ostatnim obozie i był, był gotowy do ataku na szczyt. Oczywiście jest bardzo wielu artystów, wokalistów, którzy życzyliby sobie być tak niespełnieni, mieć taki dorobek, jaki zostawił po sobie Andrzej Zaucha. Natomiast jestem przekonany, że on jeszcze nie powiedział ostatniego słowa i właściwie zaczynał być u szczytu możliwości zarówno warsztatowych, jak i takich emocjonalnych, charakterologicznych, bo co dwudziestoparoletni facet wie o życiu? Nic nie wie, natomiast, natomiast on był wtedy po czterdziestce, w sile wieku, już też niestety doświadczony przez los, chociażby można wspomnieć o trudnych czasach dzieciństwa, ale też o nagłej śmierci jego ukochanej żony, która bardzo załamała go i była czymś takim, co na pewno, na pewno go pokiereszowało, ale jednocześnie stanął po tym na nogi, znowu zaczął śpiewać i

myślę, że te wszystkie doświadczenia usłyszeliśmy w kolejnych utworach, miał bardzo dużo planów. Zaczynały się też nowe czasy bez właśnie PRL-owskich problemów, więc jeżeli jego dwaj serdeczni koledzy – Zbigniew Wodecki i Ryszard Rynkowski odnosili sukcesy w latach dziewięćdziesiątych i później, Ryszard Rynkowski przecież był właściwie hegemonem takiego, takiej piosenki popowej, estradowej w przez całe lata dziewięćdziesiąte i pierwszą dekadę lat dwutysięcznych, no to nic nie wskazuje na to, żeby Andrzej nie radził sobie co najmniej tak dobrze, więc nie, niestety. No została jemu odebrana ta możliwość i nam jako tym, którzy słuchają muzyki i mogliby się cieszyć tymi płytami również.

NATALIA RYBA: Bardzo panu dziękuję, panie Jarosławie, za tę rozmowę.

JAROSŁAW SZUBRYCHT: Nawzajem. Pęknie dziękuję.

♪ [PRZECIĄGŁY DŹWIĘK]

LEKTOR: Audycje kulturalne – w dobrym tonie.